

Zjeść bogatych?

21 grudnia 2022

Nie dajcie sobie wmówić, że rozdanie majątków najbogatszego jednego procenta ludzkości nie poprawi losu pozostałych. W końcu zagrabili już prawie wszystko.

Być biednym to nie wstyd. Ale nie jest to też wielki honor, mówił Tewje, mleczarz ze „Skrzypka na dachu”. Ubóstwo czy niedostatek uważa się zwykle za porażkę, jak gdyby jedynym i głównym celem w życiu było dążenie do bogactwa.

Człowiek sukcesu to bogacz. Przedmiotem powszechnego uznania i podziwu są gwiazdy pływające się w luksusie. Mało komu przychodzi do głowy, że nadmiar dóbr w rękach jednych musi oznaczać niedostatek dla tych, którym się nie powiodło. Dla których nie wystarcza. Bo przecież suma dóbr jest stała i to, ile kto ma, zależy od tego, jak te dobra, przez wszystkich wypracowane, podzielimy.

Przekonanie, że bogaci się bogacą, podczas gdy biedni biednieją, nie jest nawet kontrowersyjne. To fakt poparty obiektywnymi danymi statystycznymi. Wypada zatem zadać pytanie, czy ci na górze piramidy dochodowej rzeczywiście zasługują na wszystko, co mają?

Neoliberalni apologetci systemu odpowiadają, że tak. Zwycięzców nikt nie sądzi. Zwycięzca bierze wszystko. Skoro wygrali wyścig po sławę, władzę i bogactwo, to im się należy. Do wyjątków należą ludzie pokroju Jakuba Błaszczykowskiego, który w wywiadzie prasowym mówił: „Gram tylko w piłkę nożną, nie powinienem zarabiać więcej niż lekarz czy policjant”. Nasz wybitny piłkarz i wielokrotny reprezentant kraju zadał sobie trud refleksji nad pożytkiem, jaki przynoszą społeczeństwu ludzie wykonujący różne zawody.

Nikt nie ma wątpliwości, że są ludzie wybitni w różnych dziedzinach, którym jako społeczeństwo możemy chcieć się

odwdzięczyć za wynalazki, pomysły, wrażenia artystyczne, których nam przysparzają. Dlatego godzimy się na to, że dużo zarabiają. Pytanie tylko, jak dużo? Gdzie jest granica?

Maja Staśko wytknęła Robertowi Lewandowskiemu, że ma na nadgarstku „zegarek o wartości mieszkania”, i trudno się z nią nie zgodzić. W kraju, gdzie dla większości młodych ludzi własne mieszkanie jest marzeniem ściętej głowy, taki zegarek szokuje. Lewandowski jest jednak bożyszczem tłumów i większość ludzi akceptuje jego ostentacyjne bogactwo.

Inaczej jest już na przykład prezesem Orlenu z Danielem Obajtkiem, którego gigantyczne zarobki budzą powszechne oburzenie. Nic dziwnego, bo te zarobki są dramatycznie za wysokie. Dziwi tylko, że analogicznie bizantyjskie apanaże prezesów spółek prywatnych nikogo już tak w oczy nie kłują. A przecież ani praca Obajtka nie jest tyle warta, ile mu płacimy, ani prezes prywatnego banku nie jest wart swoich równie wysokich, jeśli nie wyższych zarobków. I to nieprawda, że w sektorze prywatnym pensja menadżera nie jest płacona przez obywateli. Płacimy ją w zawyżonych odsetkach od kredytów i dodatkowych opłatach za usługi bankowe.

Jak obiektywnie wycenić wartość ludzkiej pracy? Liberał powie, że to robi rynek. Ale przecież menedżerowie wysokiego szczebla, prezesi, dyrektorzy bogatych firm korzystają z protekcji (znanej także jako karuzela stanowisk), która nie ma nic wspólnego z żadną konkurencją, a i z kompetencjami jest tylko luźno powiązana. Ciekawie wygląda prześledzenie karier prezesów dużych banków; nie tylko ich wykształcenia, ale też rodzinnych i politycznych powiązań.

Tymczasem ratownik medyczny, który codziennie ratuje ludzi i musi co nieco umieć, zarabia około 3 tys. zł. Pożytek społeczny z jego pracy jest z pewnością co najmniej równy temu, jaki mamy z pracy prezesów. Dlatego ta różnica w zarobkach jest tak niesprawiedliwa.

Obok użyteczności społecznej bardzo ważnym kryterium, które powinno wpływać na wysokość wynagrodzenia, jest uciążliwość pracy. Praca umysłowa na stanowisku kierowniczym to praca czysta i dająca satysfakcję ze względu na swój twórczy charakter. Samo wykonywanie tego typu pracy jest już nagrodą. Płacenie horrendalnie wysokich wynagrodzeń ludziom mającym ciekawą i lżejszą od innych pracę nie jest w porządku.

Mamy w Polsce 5 milionów robotników fabrycznych, wykonujących monotonną, wyczerpującą fizycznie pracę, która jest nisko opłacana. Wartość pracy jest nieporównanie wyższa niż to, co za swój wysiłek otrzymują w dniu wypłaty. Dopiero gdy strajkują, dowiadujemy się, ile zysków przynosi ich praca. Wtedy firma publikuje alarmistyczne komunikaty o gigantycznych stratach, jakie ponosi z powodu strajku. Gdyby załoga miała jakiś udział w tych zyskach, pewnie by nie strajkowała. Jednak za pracę płaci się nie tyle, ile ona jest warta, lecz najmniej, ile można zapłacić.

Pogląd, że wynagradzać się powinno według zasług, jest słuszny. O ile nie będziemy wnioskować o zasługach na podstawie osiągniętej pozycji społecznej. Gdy tylko przychodzi nam do głowy, że nasz sukces wynika jedynie z naszych osobistych cnót, zaczynamy osądzać innych. Merytokracja to teoria, w myśl której każdy i bogaty i biedny dostał to, na co zasłużył. Ci na górze wolą myśleć, że ludzie z tzw. nizin społecznych po prostu za mało się starają.

Wstawiłem się kiedyś u burmistrza Sochaczewa za lokatorkę, która zalegała z czynszem w mieszkaniu komunalnym. Burmistrz zarzucił jej nieodpowiedzialność. Była to samodzielna matka wychowująca niepełnosprawnego syna. Pracowała jako pielęgniarka na najtrudniejszym oddziale szpitala psychiatrycznego, a po godzinach dorabiała w pogotowiu jako ratowniczka medyczna. Dlaczego burmistrz piastujący wysoko płatną posadę mógł tak potraktować tę kobietę? Bo fakt, że jemu się dobrze wiedzie, a jej nie, wystarczył, by poczuł się od niej lepszy i bardziej odpowiedzialny.

To dlatego, że sukcesy i niepowodzenia uważa się za wynik osobistych działań lub zaniechań. Tymczasem fakt, że samotna matka niepełnosprawnego syna wykonująca odpowiedzialną, pożyteczną pracę w zwiększonym wymiarze godzin zarabia zbyt mało, żeby na czas płacić za mieszkanie, to wina systemu, a nie jego ofiar.

Gorliwość, z jaką ludzie sukcesu bronią systemu, jest zrozumiała. To w jego ramach wiodą życie, którego większość im zazdrości. Wolą uważać, że wszystko zawdzięczają własnej przezorności, staraniom, talentowi. To wyróżnienie ludzi zamożnych utrwaliło się nawet w języku – jeszcze w czasach międzywojennych o człowieku bogatym mówiło się „lepszy gość”.

Trudniej zrozumieć, dlaczego istniejącego porządku bronią ludzie marnie opłacani, choć niekoniecznie mniej pożyteczni od krezusów. Oni wiedzą, że raj na Ziemi istnieje. Codziennie oglądają celebrytów na luksusowych wakacjach, w cudownych strojach i jeszcze cudowniejszych samochodach, jachtach, prywatnych odrzutowcach. I nawet, jeżeli po latach usiłowań nie udaje im się do tego rajy wdrzeć, to święcie wierzą, chcą wierzyć, że uda się to ich dzieciom lub choćby wnukom. Każdy, kto nawołuje do opodatkowania wielkich fortun, równiejszego podziału dochodów i bogactwa jest uważany za wroga, bo chce zniszczyć ich marzenie.

Myśl, że za pieniądze, które Jeff Bezos wydaje na wycieczki w kosmos, można by uratować przed śmiercią głodową ileś dzieci w Afryce, nie przebija się. Bo idole tłumów mogą robić ze swymi pieniędzmi, co tylko chcą. Im bowiem są bogatsi, tym bardziej wyidealizowani. Nie można ich uznać za głupich, chciwych i próżnych, bo wygrywają w grę, którą ogół popiera; w którą, wszyscy, prawie wszyscy, chcą grać. A zwycięzców się nie sądzi.

Socjaldemokratycznemu premierowi Szwecji Olofowi Palme przypisuje się pogląd, że nie przeszkadza mu bogactwo, a chodzi jedynie o to, żeby nie było biedy. Pogląd ten ignoruje

jednak pytanie o to, skąd to bogactwo się bierze. A ono bierze się właśnie z biedy. Dyktator Indonezji Suharto, uciekając ze swego kraju, zabrał tyle pieniędzy, ile wynosił cały zagraniczny dług tego kraju. W krajach Zachodu, nawet w Polsce, bogaci okradają społeczeństwo w subtelniejszy sposób. Zgodnie z zasadą, że pierwszy milion trzeba ukraść, przeprowadzono prywatyzację i reprivatyzację. Potem rozwarstwienie pogłębiano za pomocą tzw. regresywnego systemu podatkowego, który polega na tym, że im kto więcej zarabia, tym proporcjonalnie mniejszą część swego dochodu oddaje państwu w podatkach.

Im więcej biorą ci na górze, tym mniej zostaje dla tych na dole. Postulat równości wziął się z potrzeby przetrwania. Przy skąpych zasobach żywności tylko w miarę równy podział gwarantował, że przetrwają wszyscy. A im większa wspólnota, tym większe szanse przetrwania dla wszystkich.

W niektórych kulturach postulat równości okazywał się nawet ważniejszy od przetrwania. Badani przez antropolożkę Ruth Benedict rdzenni mieszkańcy z plemienia Hopi postawieni przed dylematem, czy rozbitkom w szalupie ratunkowej dać równe racje wody, co nie gwarantowało przeżycia, czy dać wodę tylko części, aby chociaż ta część przeżyła, wszyscy odpowiedzieli się za równymi racjami. Z kolei plemię Zuni, opisywane przez tę samą badaczkę we Wzorach kultury, przepadało za wyścigami, jeśli ktoś jednak wygrywał zbyt często, odsuwano go od udziału, żeby innym dać większe szanse. W kulturze wielu rdzennych plemion Ameryki nie istniało pojęcie prywatnej własności ziemi. To skutecznie blokowało bogacenie się jednostek i wzrost rozwarstwienia.

Niestety, nie dowiemy się nigdy, jak rozwinęłyby się te kultury, bo biali ludzie wymordowali większość autochtonów. Przykłady te zadają jednak kłam teorii, że człowiek jest stworzony do rywalizacji i dominacji nad innymi. Nieprawdziwy jest też pogląd, że miarą sukcesu jest nagromadzenie jak największej ilości dóbr. Kwiakiutlowie rywalizowali o to, kto

więcej własnego dobytku zniszczy podczas specjalnej uroczystości zwanej potłaczem.

Bogaci nie tylko wykorzystują niebogatych jako tanią siłę roboczą, nie tylko dyktują astronomiczne czynsze, nie tylko pożyczają im na lichwiarski procent. Oni jeszcze do tego ludzi mniej zamożnych, a więc stojących niżej od nich w hierarchii społecznej, upokarzają. Zaharowanych niemal na śmierć zachęcają do zwiększenia wysiłku. Stawiają siebie za przykład do naśladowania. Wmawiają im, że wystarczy chcieć, bardziej się postarać, a granicą będzie już tylko niebo. Co do nieba, większość może co najwyżej pomarzyć, że tam trafi po śmierci, bo biletu do raju na Ziemi, krainy darmowych lunchów w saloniku VIP-owskim nie dostaną nigdy.

Nie dajcie sobie wmówić, że rozdanie majątków najbogatszego jednego procenta ludzkości nie poprawi losu pozostałych. W końcu zagrabili prawie wszystko. Teraz niech oddadzą. Żeby dzieci na całym świecie przestały głodować, nie trzeba zjeść bogatych. Wystarczy ich odpowiednio opodatkować.

Autorstwo: Piotr Ikonowicz

Źródło: Trybuna.info